

Kto chce zrozumieć poetę...

Stare twierdzenie Goethego: „*Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen*”, czyli: „Kto chce zrozumieć poetę, musi poznać jego kraj” — jest dla mnie zawsze aktualne. Studiując niegdyś Szekspira, waleśałem się zaułkami londyńskiego Southwark, gdzie mieściły się elzbietańskie teatry; studiując literaturę amerykańską, przemierzylem wzdłuż i w szerz całe Stany Zjednoczone, ostatnio zaś — rozpoczynając pracę nad książką o Cervantesie i biorąc udział w przygotowaniach do wystawienia fascynującego „Wesela hrabiego Orgaza” przez Teatr Ludowy w Nowej Hucie, musiałem — rzecz jasna — pojechać do Hiszpanii.

Ponieważ jednak temat hiszpański wszechstronnie i syntetycznie zarazem omówił już niedawno na łamach „Dziennika” red. Władysław Cybulski, ja dla molch impresji skorzystam z równie życzliwych mi szpalt „Życia Literackiego”. Tutaj zaś chciałbym tylko podkreślić, jak bardzo zacytowana na wstępie maksyma Goethego pozostała nie tylko aktualna, lecz przenikliwa i głęboka, choć przecież tak na pozór jest prosta.

Wróciłem z Hiszpanii utwierdzony w przekonaniu, że gorsząca lekkomyślnością byłoby pisanie większego utworu o życiu i twórczości Cervantesa bez poznania Kastylji i Andaluzji, w której tak pieczołowitą opieką otacza się pamięć twórcy „Don Kichota”. Wróciłem też w przekonaniu, że nie będąc w Toledo, nie zwiędziwszy — cóż stąd, że zrekonstruowanego! — domu, w którym mieszkał i tworzył El Greco, nie spędziwszy wielu godzin przed jego

sllynnym „Pogrzebem hrabiego Orgaza”, eksponowanym z należytą atencją w kościele San Tomé, nie mógłbym służyć należytą pomocą przy nowohuckiej realizacji feerycznej i głębokiej zarazem sztuki, opartej na powieści Romana Jaworskiego.

Akcja „Wesela hrabiego Orgaza” rozgrywa się przecież właśnie w Toledo, a choć bynajmniej nie o jakies realia w niej idzie, to przecież znajomość nieporównywalnej tolekańskiej atmosfery — niemal takiej samej dziś, jak przed wiekami — wydaje się konieczna przy przenoszeniu na scenę satyryczno-filozoficznej wizji polskiego pisarza, współczesnego Witkacemu a bardzo niesłusznie prawie zapomnianego.

★

Ledwie wróciłem do Warszawy, spotkałem się ze starymi znajomymi: z aktorami Royal Shakespeare Company, którzy przywieźli do nas — twór jeszcze starszego znajomego: Szekspira. Pokazany tym razem „Sen nocy letniej” w reżyserii Peter Brooka stał się — jak zwykle w Warszawie — sensacją snobistyczno-towarzystką, lecz był przede wszystkim rzeczyswistą sensacją artystyczną; chociaż serdeczny mój przyjaciel i znakomity krytyk, z którego sądami zwykle zgadzam się bez zastrzeżeń — Zygmunt Greń — dostrzegł w tym spektaklu sensację raczej drugorzędą. Szczerze mi przykro, że w tym wypadku jestem odmiennego zdania, a dlaczego — o tym szerzej napiszę w „Dialogu”.

Uważam, że Anglicy dali wzorcowy niemal przykład, jak można grać dziś Szekspira super-nowocześnie (używam tego określenia, choć nikt nie wie, co

ono właściwie w odniesieniu do klasyków naprawdę powinno oznaczać, nie uroniwszy przy tym ani jednej sylaby tekstu, ani odrobiny poezji Stratfordczyka, a w oryginalny i piękny — co prawda chwilami ryzykowny — sposób tłumacząc myśl i perypetię sztuki.

Oglądałem jednak w Warszawie także innego Szekspira. W Teatrze Polskim grana jest najpiękniejsza i najgłębsza z jego komedii: „Jak Wam się podoba”. Cóż, wyznać muszę od razu, że podobała mi się tylko Krystyna Królowna w roli Rozalindy. Tylko ona zrozumiała Szekspira, uwierzyła mu, a dzięki osobistym warunkom psychofizycznym i pięknie rozwijającemu się talentowi, który z uwagą śledząc od lat kilku, bezbiednie przekazała widzom jedną z najpiękniejszych postaci szekspirowskich, stwarzając najlepszą chyba Rozalindę, jaką oglądałem kiedykolwiek.

Szkoda, że reżyserująca sztukę Krystyna Meissner (która tak świetnie zademonstrowała nam niegdyś „Miłość i próżność” Godebskiego w warszawskich „Rozmaitościach”) nie poszła za Szekspirem, ani za wspaniałym przekładem Czesława Miłosza, że wolała zaprezentować serię swych własnych pomysłów. A to — niesety — zawiody. Szkoda. Bo w ten sposób przepadła komedia, przepadł nawet znakomity jej przekład — ostała się tylko Rozalinda-Królowna, ratując z tego spektaklu to, co jeszcze było do uratowania. Krystyna Meissner nie zrozumiała poetę. Gdyby to ode mnie zależało, wystąpiłbym utalentowaną skądinąd panią reżyser na pewien czas do Londynu i do Stratfordu.